

Krzysztof Idziorek

Kubański dziennik malkontenta



czyli

NO es FÁCIL

Krzysztof Idziorek

Kubański dziennik malkontenta

czyli

NO es FÁCIL

Część pierwsza

Habana Vieja



22.05.11
Domingo (niedziela)

Wczoraj:

Wróciłem do domu i zastałem Federica i jego kolegę. Federico nie miał mi za złe splądrowania szuflad w jego komodach w poszukiwaniu kluczy. Nie spytałem go o drzwi, które otwiera jego kolekcja. Ja z kolei nie mam mu za złe, że przynosi mnie do innego mieszkania. Ustaliliśmy z nim terminy i płatności za pobyt. Przeprowadzam się jutro do innego *casa particular* na jego prośbę. Do środy zostaję w Hawanie. Potem chciałbym popłynąć katamaranem na Isla de la Juventud. Federico przedstawił mi Paulę, moją nową sąsiadkę. Paula jest z Brazylii. Jest architektem jak ja i ma 33 lata. Przyleciała dzisiaj do Hawany. Jutro odbiera nagrodę w Santiago de Cuba w konkursie, który wygrała. Właśnie zauważyłem, po jej szczoteczce do zębów na półce pod lustrem, że mamy wspólną łazienkę. Przełożyłem moje kosmetyki na lewą stronę półki, a po prawej zostawiłem dla niej mango od El Capitána z listem. I tak nie zjadłbym ich wszystkich.

Po powrocie późnym wieczorem zastałem podziękowania na karteczce. Spotkaliśmy się w nocy w łazience. Niestety na krótko, przy myciu zębów. Uważam, że wspólna łazienka dla dwóch apartamentów jest uroczym rozwiązaniem architektonicznym.

...zostawiłem dla niej mango od El Capitána z listem.

Wcześniej udało mi się zjeść pyszną rybę w restauracji na rogu Prado i Malecón. Mój znajomy, wielki czarny kelner, przywitał mnie: „O pan już trzeci raz u nas!”. Nie mylił się. Potem zajął się odganianiem żebraków od stolików. Dałem jednej matce z dwojgiem chudych dzieci 1 CUC. Spytałem go, czy się na mnie nie gniewa. Nie znam tutejszych zwyczajów. Uśmiechnął się, choć twarz miał zwykle kamienną. Poszedłem po kolacji do tego, co pozostało z pałacu, w którym mieszka Neto, i zaprosiłem go na kamienną ławkę na Prado, na krótką rozmowę. Omówiłem z nim warunki naszego jutrzejszego wspólnego zwiedzania Hawany. Od południa do szóstej wędrujemy razem według jego marszruty. Jego honorarium to 10 CUC, plus kawa i woda na mój koszt. Po pracy zapraszam go na dwa mojito do mojego ogródka, a jeżeli chce popracować w nocy, to napoje również będą na mój koszt. Neto chciał od razu iść ze mną gdziekolwiek, bo *es muy temprano...* (jest bardzo wcześnie...). Faktycznie, może było trochę po dziesiątej wieczorem.

Pożegnałem go, a sam do północy włóczyłem się po Prado z Voigtländerem, starym, małoobrazkowym aparatem dysponującym wspinałym, szerokokątnym obiektywem. Bez większych sukcesów.

Nie pomoże lupa, gdy fotograf dupa.

Młodzi chłopcy siedzący na kamiennej ławce bulwaru Prado naprzeciwko mojego domu zawołali do mnie: *Quieres una chica? De qué país eres?* (Chcesz dziewczynę? Skąd jesteś?). Podeszedłem do nich przywitać się i powiedzieć, że nie szukam dziewczyn. Jestem fotografem. Jestem też architektem. W sumie jestem fotografującym architektem. Nie zdziwili się. Byli nawet sympatyczni. *Perdone pero la gente como tu siempre aqui busca las chicas!* (Przepraszamy, tutaj zawsze ludzie tacy jak ty szukają dziewczyn!). A może to dziewczy-

ny szukają takich jak ja? Chyba jestem za bardzo przywiązany do własnej nieśmiałości.

Wróciłem do domu.

Kąpiel wieczorem jest lepsza, bo ciepła. Przez noc zbiorniki wody na dachu stygną. Rano woda jest chłodna.

Estoy trabajando! (Pracuję!) Dobrze działa o każdej porze na *jineteros*. Szczególnie przy robieniu zdjęć. Tej nocy stosowałem ten zwrot często i z powodzeniem.

Rady sławnego podróżnika o kapeluszu, który to kapelusz pozwoli mi zginąć w tłumie, są w Hawanie całkowicie bezużyteczne. Jestem tu jedynym człowiekiem w kapeluszu. Ale za to jego rady o pakowaniu bagażu – bezcenne. Wciąż pozbywam się niepotrzebnych przedmiotów. Z wielką przyjemnością.

Od długiego czasu widzę wszystko jak przez pryzmat albo jak przez akwarium. Zdałem sobie z tego sprawę już jakieś dwa miesiące temu. Ciekaw jestem, czy to zjawisko tutaj minie. Na razie jest obecne i powoli staje się uciążliwe.

Dalej 22.05.11

Czwarty dzień pobytu, godzina 19.30.

Najchętniej piszę jednak w restauracyjnym ogródku na Prado.

Po powrocie z miasta, po naszej siedmioipółgodzinnej wędrowce z Neto, piję czwarte dzisiaj mojito. Cały czas smakuje tak samo dobrze. Siedzę w tym samym blaszanym fotelu, z którego robiłem zdjęcia przy śniadaniu.

Największym wydatkiem dzisiaj było opłacenie mojego przewodnika Neto. Kosztował mnie 20 CUC. Życzę każdemu, żeby za tę cenę został bohaterem narodowym Kuby,

a przynajmniej Habana Vieja albo tego *barrio de aquí* (tej dzielnicy). Na jeden wieczór. To naprawdę niedrogo.

Jutro w południe przeprowadzę się do Señory Rosy, odpocznę i pójdę wieczorem na kolację z Neto i Cati.

Przed chwilą spotkałem El Capitána. Siedział koło przystanku autobusowego przy Prado ze swoim przyjacielem Ibrahimem. El Capitán mówi niewyraźnie, jak prawie wszyscy tutaj. Tyle że on bardziej. Za to ja mówię nie wiem dokładnie co, ale wyraźnie. Ibrahim był tłumaczem. Mówił pięknie i rozumiał wszystko bez problemu. Obojętne kto do niego mówił. Taki czarny siedemdziesięcioletni erudyta.

Nie zdążę pojechać na wycieczkę do Pinar del Río z El Capitánem. Trudno by mi było też spędzić z nim tak wiele godzin z naszą wzajemną komunikacją, ograniczoną jego wymową i moim dalekim od doskonałości hiszpańskim. W poniedziałek kupię bilet na statek, we wtorek popracuję nad sobą, a w środę popłynę na La Isla de la Juventud. Po powrocie z wyspy, przed odlotem do domu, przejmę władzę na Kubie. Oczywiście na jakimś bardzo niewielkim obszarze. I oczywiście na bardzo krótki czas. Ale przedtem będę musiał wypić mojito. Albo najlepiej od razu kilka.

W ogródku z głośników krzyczy aktualny przebój ulicy:

...*Usted es tan malo, usted es tan loco...* (...Pan jest taki niedobry, pan jest taki zwariowany...)

Trochę przerażająca piosenka. Śpiewana z pominięciem „s” i „r” w wymowie. Muzyka zalicza się do nowego, miejscowego stylu reggaeton.

Przygotowałem się starannie na wędrowkę z Neto. Wczesnym rankiem zjadłem podwójne śniadanie, popijając po-

dwójnym sokiem ze świeżych mango. Wróciłem do domu przygotować sprzęt fotograficzny.

Punktualnie o dwunastej byłem na Prado. Wszedłem do resztek znanego mi z przedwczorajszej wizyty pałacu, ale nie zastałem Neto. Jego wujek, zamiatający podwórko, powiedział, że rano odprowadzał córkę do szkoły i pewnie poszedł odwiedzić swoją babcie. Przyszedł o 12.03 z żoną i z zakupami. Chciał poczęstować mnie kawą, ale południe to dla mnie za wczesna pora.

Poszliśmy przez Habana Vieja i dalej Centro de Habana, *dirección sur* (w kierunku południowym). Zmartwiłem się nieco, że prowadzi mnie przez miejsca, które już znam. Przewędrowałem samotnie pół Hawany. Po rzucie oka na plan miasta moje pół Hawany wygląda bardziej jak mniej niż ćwierć. Wkrótce jednak wędrowka nabrała tempa i kolorów. Spotykaliśmy jego znajomych i przyjaciół w jego *barrio* (dzielnicy), w południowej części Habana Vieja. Między innymi fryzjera i malarza. Fryzjer był trzeźwy, ale i tak nie ostrzygłem się w jego zakładzie, bo nie miałem co strzyc. Malarz za to był pijany, ale nie kupiłem obrazka w jego małej galerii, bo mam trudności ze sprzedażą własnych. Zrozumiał. Miał rozwieszony na ścianach liczne portrety Che Guevary w neonowych kolorach. Kalki z najbardziej znanego zdjęcia Che, zrobionego przez Alberto Korde piątego marca 1960. Mam na myśli to zdjęcie, które stało się później znaną wszystkim ikoną.

Mam nadzieję, że owocem tej wędrowki będzie parę zdjęć, chociaż cały czas martwię się wskazaniem światłomierza. Tematy się powtarzają i tracę wycucie planu, ale zawieram ciekawe znajomości i prowadzę wyszukane konwersacje.

Neto opowiada, że kiedy miał trzy lata, jego mama zmarła na astmę. Niedługo potem jego pijany tata wpadł pod pociąg. Wychowała go babcia w Centro Habana. Babcia mieszka teraz w Habana Vieja i jest chora. Nie da się jej wyleczyć. Prawda to, czy nie? Kochana *bisabuela* – czyżby prababcia?

Kwadrans później byliśmy już z wizytą w mieszkaniu jego babci w Habana Vieja. Doszliśmy tu, kłucząc wąskimi uliczkami. Nie uwierzyłem w jego historię. Okazała się jednak prawdziwa.

Mieszkanie na piętrze dwukondygnacyjnej kamienicy było kiedyś eleganckie. Wejście, jak zwykle tutaj, po wąskich i stromych drewnianych schodach. Wnętrze bardzo wysokie, blisko pięciometrowe, z kolumnami, sztukateriami i z podłogą w czarno-białą marmurową szachownicę. Przejdźcie do sypialni babci i dalej do kuchni i łazienki z galerii małego wewnętrznego dziedzińca. Łazienka, razem z wyposażeniem, z czarnego marmuru. Wanna z jednego kamiennego, polerowanego bloku. Stan wszystkich pomieszczeń, poza wysokim salonem, przez który wchodzi się do mieszkania, podobny jak w resztkach pałacu na Prado, w którym mieszka Neto. Brud, bałagan i dewastacja, których nie potrafię opisać. Podobnie jak w pałacu brak bieżącej wody. To z pewnością utrudnia codzienne życie.

Dziewczyny ze stolika obok poderwały się i tańczą ze sobą. Nie mogę opanować śmiechu! *Yo no sé mañana* (Nie znam jutra).

Nie udało nam się z Neto znaleźć w mieście miejsca, gdzie moglibyśmy wypić popołudniową kawę. Wodę mineralną kupiłem w jadłodajni, w której płaci się pesos nacionales. Mogłaby stanowić scenografię do *Roku 1984* Orwella. Poza wodą wszystkie inne atrakcje tego lokalu były „produktami zwycięstwa”. Próbowałem robić zdjęcia bez patrzenia w wizjer, stawiając Hasselblada na kontuarze. Nie mam śmiałości robienia zdjęć ludziom jedzącym potrawy, których nie muszę jeść.

Zdecydowanie nie nadaję się na reportera.

Wręczyłem Neto drobne pieniądze. Poszedł kupić kawę do zaparzenia *a lo cubano*. Zostałem z babcią w jej sypialni. Nie rozmawialiśmy wiele. Zrobiłem jej dwa zdjęcia. Po ciemku. Powiedziała, że portret nie jest dobrym pomysłem. *Soy fea* (Jestem brzydka). Przekonałem ją, mówiąc, że dla mnie jest piękna. Dla mnie była piękna. Ma chorą nogę. Chyba stan zapalny naczyń. Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że to gangrena. Neto mówi, że nie ma lekarza ani lekarstw, żeby ją skutecznie leczyć.

Przy kawie rozmawialiśmy z Neto o życiu tutaj i w Polsce. O polityce, na której się nie znam, ale w tym wypadku pozostałem pilnym słuchaczem. Sam już nie wiem, co rozumiem z tego, co słyszę, i z tego, co mówię. Neto nie ma stałej pracy. Posiada licencję stolarza, która pozwala mu na korzystanie z dostępnych świadczeń i zwalnia z obowiązku etatowego zatrudnienia. Jego zdaniem kubański rząd jest bardzo mądry, a może raczej przebiegły. Generalnie zmiany w niedługim czasie są nieuniknione. Pewnie ma rację. Wszyscy tutaj czekają na bezkrawne rozwiązanie. Używa imion – Fidel, Raúl – oraz terminu *el gobierno* (rząd). W tym, co mówi, nie odczuwa się nienawiści ani nawet niechęci. Raczej ostrożność i respekt. Nie jestem amatorem kawy, ale ta zaparzona przez Neto była bardzo dobra. Mocna, gorąca, słodka i bardzo mała.

Pożegnałem się z *abuelą* i ruszyliśmy w dalszą wędrowkę w kierunku południowej części Centro Habana. Neto śmiał się później, że od dwóch godzin jedynym turystą, którego ogląda, jestem ja. Powiedział, że miałem dużo szczęścia, zapuszczając się przez ostatnie dwa dni samotnie w te okolice. Każdy mógł mnie poprosić o moją koszulkę, bo o kapelusze raczej nie. Nie przyszło mi to nawet do głowy. Byłem skoncentrowany na robieniu zdjęć, mimo to odpowiadałem na wszystkie powitania tubylców. Jeżeli ktoś spotkany na ulicy miał chęć na pogawędkę, próbowałem podjąć konwersację.

Może chroni mnie mój permanentny strach. Jednocześnie, paradoksalnie nie czuję się zagrożony.

Po drodze spotkaliśmy ciocię Neto, która razem ze swoją przyjaciółką stała na ulicy w kolejce do sklepu. Potem natknęliśmy się na jego wujka, który jest kucharzem w restauracji w Centro Habana, i spotkaliśmy wielu kolejnych znajomych oraz członków dalszej rodziny. Neto nie zdecydował się na odwiedzinę swojej dwudziestoletniej córki, o której mi opowiadał.

Poznaję różne twarze miasta.

Duszę się spalinami ze zmęczonych silników resztek amerykańskich aut. Przypomniało mi się, że kiedyś tak pachniała Warszawa – złym paliwem ze sfatygowanych silników. Podobno Moskwa wciąż tak cuchnie.

Mając na myśli północną część Habana Vieja, Neto powiedział: „Habana Vieja, z jej fasadami i budynkami odnowionymi dla turystów, jest dobra, żeby zdobywać pieniądze z zagranicy, ale jest też bardzo nudna, przynajmniej dla mnie”.

Dla mnie też okazała się nudna.

Zmieniam kolejne rolki w Hasselbladzie. Myślę przy tym o mojej współpracownicy Pauli, z którą prowadzę w Warszawie firmę. Za jej namową wyposażylem się na tę podróż w aparat o wielkości kamienia brukowego. Prześladowuje mnie permanentny strach o właściwą ekspozycję. Neto pomaga mi przy zmianie filmów. Trzyma mi kapelusz, podnosi okulary, które ciągle gubię, i dopina mój plecak ze sprzętem.

Idąc ulicą oznaczoną na mapie jako Paseo, prowadzącą dokładnie na północ w kierunku morza, doszliśmy na bulwar Malecón. Dzień był upalny. Czułem się już bardzo zmęczony. Neto pozostał rześki, bez kropelki potu na czarnym obliczu.

Właśnie przyszedł do mojego blaszanego stolika w ogródku tutejszy Mandingo. Podziękowałem mu za pomoc, jakiej udzielił mi dwie godziny temu.

Myślałem, że powinniśmy wejść ponownie w miasto, aby poszukać cienia, ale już nie miałem siły i ochoty kluczyć uliczkami. Wracaliśmy w pełnym popołudniowym słońcu bulwarem wzdłuż morza. Zaproponowałem, że pójdziemy na mojito do mojego ogródka, a potem około siódmej na kolację z jego żoną. Neto zgodził się chętnie. Minęliśmy skrzyżowanie Malecón i Prado w miejscu, w którym ostatnio jadłem wieczorny posiłek w narożnym lokalu. Przechodząc, pokazałem mu jeszcze dom Federica, w którym mieszkam, na rogu Cosulado i Capdevila. Niecałą minutę później przed wejściem do ogródka Neto zatrzymał milicjant. Malutki, jak wszyscy milicjanci w tym mieście. Nie zatrzymując się, płynnie poszedłem dalej. Zamówiłem w barze dwa mojitos i wszedłem pod daszek z liści. Szczęśliwie czarny wielkolud, pracujący zwykle jako naganiacz na bulwarze, był tym razem na miejscu. Spytałem go, czy zostawić Neto samego z milicjantem, czy wrócić. Nie odpowiedział, mimo to wróciłem. Zostawiłem pod jego opieką mój plecak z aparatami i naświetlonymi zdjęciami. To była trudna decyzja. Nie wiedziałem, czy go jeszcze zobaczę. Mam na myśli plecak, a nie wielkoluda.

Dzisiejszego wieczora obsługa ogródka nie przysłała już *chicas, puros y taxis* (dziewczyn, cygar i taksówek). Mogę niefatygowany przez nikogo pisać przy stoliku. Zastąpiłem sobie na spokój.

Wróciłem z dwoma mojitos dla Neto i jego żony, która widziała nasz powrót z miasta z ławki na Prado przed ich domem. Wypytywała już malutkiego stróża prawa, o co chodzi. Wyglądało na to, że Neto został aresztowany. Spytałem milicjanta, czy ma chęć na mojito albo na mojego papierosa marki *Flor de aroma*. Sam chciałem zapalić. Odpowiedział, że nie ma ochoty, i zabronił pić aresztowanemu. Wyglądał, jakby miał ochotę na jedno i drugie. Wypiliśmy mojito z Cati.

Znowu się uśmiecham. Po piątym mojito dzisiaj. Prawdziwe szczęście musi kosztować.

Płacąc za mojitos w barze, wetknąłem Cati za stanik dwa banknoty po 20 CUC. Na wszelki wypadek. Chwilę później przekazała je dyskretnie Neto czekającemu wraz z milicjantem na radiowóz przy kutej pięknie bramie ogródka. Zapłaciłem w barze za mojitos i położyłem napiwek na blat. Cati zebrała drobne i dała je do ręki kelnerce. Nie wiem dlaczego. Wracając po plecak z aparatami, zrobiłem telefonem zdjęcia Neto i milicjanta.

Już po raz trzeci spotykam dziś El Capitána. Właśnie wszedł do kuchni po resztki dla psów. Podszedł do mojego stolika, ale nie dał się na nic namówić. Za to zapraszał mnie ponownie do Pinar del Río: *A mi finca. Solo un día. Vamos en guagua* (Na moją działkę. Tylko jeden dzień. Pojedziemy autobusem).

Smutno mi, bo nie pojedziemy.

Neto skuty kajdankami czekał z malutkim milicjantem na rogu Prado i Capdevila na radiowóz. Ja z jego żoną poszliśmy na komisariat przy Capitolu, budynku parlamentu, gdzie mieli go dowieźć. Pomyślałem, że tak bliskie sąsiedztwo aresztu i parlamentu mogło być podyktowane względami praktycznymi.

Po drodze ustaliliśmy z Cati, że jestem szwagrem Neto i poznałem jego siostrę Dolores w mojej szkole hiszpańskiego w Warszawie. Ona jest moją narzeczoną, ponieważ nie może być, w moim przypadku, żoną. Powiedziałem Cati, że zanim dojdziemy do aresztu, z pewnością zatrzyma nas milicja i historia powtórzy się w nowej konfiguracji. Nie doszło do tego. Straż przy wejściu do komisariatu kazała nam czekać po dru-

giej stronie ulicy, ale ani mi to było w głowie. Poprosiłem jednego z wartowników o ogień do mojego *Flor de aroma*. Poszedł po zapalki gdzieś na zaplecze więzienia. To było miłe z jego strony. Zawołałem do Cati, która została po drugiej stronie ulicy, żeby przyszła posiedzieć ze mną na murku przy drzwiach do komisariatu. Nastawiłem się na długie czekanie. Miałem nadzieję, że w komisariacie jest toaleta, choć nie liczyłem na bieżącą wodę.

Nie bałem się ewentualnego przesłuchania. Dobrzy znajomi moich rodziców przyjaźnili się z Che. Przynajmniej przypominałem sobie, że mi o tym opowiadali, a ja wypilem już dzisiaj jedno mojito.

Neto przyjechał po dziesięciu minutach cywilnym radiowozem z dwoma milicjantami i bardzo ładną Mulatką w mini. Jak powiedział później – agentką. Żałowałem, że nie zostałem przez nią aresztowany. Milicjanci wyprowadzili go z samochodu skutego kajdankami. Z tyłu. Miał niepewną minę. Szkoda, że nie widziałem swojej. Nie sięgnąłem do plecaka po aparaty. Nie nadaję się na reportera.

Po następnych dziesięciu minutach Neto wyszedł z komisariatu i wręczył mi 20 CUC. Drugie dwadzieścia podobno dał sympatycznemu strażnikowi, który przyniósł mi zapalki. Niemniej najważniejszym elementem krótkiego śledztwa przemawiającym za uwolnieniem zatrzymanego miały być nasze więzy rodzinne. Neto został aresztowany za towarzyszenie obcokrajowcowi jako przewodnik. *De este modo estás adaptado por una familia de la Habana* (Tym sposobem zostałeś adoptowany przez rodzinę w Hawanie). Od dziś mam rodzinę w Hawanie!

Wróciliśmy pić mojito do mojego ogródka przy bulwarze Prado.

Później Neto powiedział, że jak mnie zobaczył robiącego zdjęcia w nocy na Parado, skomentował: *El hombre ha ya bedido mucha aqua y no tiene miedo*. Dosłownie: Ten człowiek wypił już dużo wody i się nie boi. Jest jeszcze kilka późniejszych wersji tego komentarza. Niestety, żadna z nich nie pasowała do mojej osoby.

Przyjemnie jest siedzieć pod największą lampą, która wisi w ogródku i nie świeci w oczy. Przyjemnie jest mieć święty spokój. A może jednak nieprzyjemnie? Jest 22.20. Poszedłbym gdzieś. Dawno się nie bałem.

Buenas noches!

Taki czarny siedemdziesięcioletni erudyta.



Mam nadzieję, że owocem tej wędrowki będzie parę zdjęć, chociaż cały czas martwię się wskazaniem światłomierza.



Babcia powiedziała, że portret nie jest dobrym pomysłem. *Soy fea* (Jestem brzydka).



Po drodze spotkaliśmy ciocię Neto, która razem ze swoją przyjaciółką stała na ulicy w kolejce do sklepu.



Duszę się spalinami ze zmęczonych silników resztek amerykańskich aut.



Spotkaliśmy wielu kolejnych znajomych oraz członków dalszej rodziny.



Część druga

Isla de la Juventud



29.05.11
Domingo (niedziela)

Mam zaległości w pisaniu.

Keka odebrał mnie z plaży punktualnie o 16.30.

Barman z Paraíso, wyglądający na 35 lat, ponownie powiedział, że pracuje tu już 27 lat i nie spotkał dotąd nikogo, kto by w tym barze coś pisał i w dodatku malował. Ale tutaj wszystko jest możliwe albo nie jest prawdą.

Nie pamiętam, czy deszcz wieczorem padał. Wyszedłem z domu przed kolacją na godzinę w poszukiwaniu tematów do zdjęć. Fotografowałem jakieś banały. Garaż z namalowanym sztandarem Kuby i sikającym pieskiem, chłopca z hulajnogą i miejsce do uprawiania kulturystyki na chwałę rewolucji. Hulajnoga zbudowana przez chłopca wyglądała raczej jak prototyp butów hiszpańskich. Spytałem go, czy mogę zrobić zdjęcie jego maszynie. Z klatki schodowej czteropiętrowego zdewastowanego bloku, przed którym spotkałem chłopca, wyszedł jego tata. Przywitał się ze mną i spytał, czy jestem reporterem i dla jakiej gazety pracuję. Hasselblada widział do tej pory tylko na zdjęciach. On pracuje Nikonem i jest reporterem.

W nocy nie mogłem spać. Tęsknię i majaczę, a mija dopiero połowa pobytu. Jest gorąco. Nie mogę spać z włączoną

Hulajnoga zbudowana przez chłopca wyglądała raczej jak prototyp butów hiszpańskich.

klimatyzacją, bo głośno buczy. Z wyłączoną też nie mogę. Wieczorem w łóżku słuchałem muzyki z iPhone'a i szukałem głębi i piękna w utworze Jehro – *Continuando*, myśląc o mojej ulubionej nauczycielce hiszpańskiego. Wolałbym słuchać *Continuando* w towarzystwie, nie doszukując się piękna.

Keka z uśmiechu i krzywego uzębienia jest bardzo podobny do mojego austriackiego przyjaciela, Christiana Eisa.

Do tej pory niepokoiło mnie to nierozpoznane podobieństwo.

Jest 9.00 wieczorem. Siedzę w moim pokoju, po kolacji z langusty i warzyw. Gapię się w lustro. Pomimo tak zdrowego wyżywienia i trybu życia na wyspie wyglądam z dnia na dzień coraz gorzej. W tym klimacie starzeję się jeszcze szybciej. Jestem człowiekiem z północy.

Rano w czasie śniadania łało tak, że plac przed domem ponownie zamienił się w jezioro. Po śniadaniu zasnąłem kamiennym snem. Keka obudził mnie dokładnie w południe. Wyjeżdżamy teraz, bo potem znowu będzie padać.

Pojechaliśmy do Santa Fe („El Fe” na drogowskazie). Jak zawsze z jego żoną i starszym synkiem. Byłem zaszpany i bez refleksu. Nie zrobiłem zdjęć spalonych lasów sosnowych. Wyspa nazywała się wcześniej Isla de los Pinos (Wyspa Sosen).

Minęliśmy parę opuszczonych albo przerobionych na budynki mieszkalne zniszczonych szkół stojących samotnie w środku pampy. Najważniejszy, oficjalny bohater narodowy Kuby José Martí powiedział, że najlepiej łączyć naukę z pracą, i Fidel wprowadził to w życie. Dzieci w tych placówkach oświatowych uczyły się przed południem, a po południu pracowały na plantacjach cytryn i pomarańczy. Plantacji już nie ma. Myślę, że zniszczyła je sama idea, chociaż Keka wspominał o szarańczy. Powiedział, że on i je-

go żona musieli chodzić do takiej szkoły z internatem. W tym czasie zmieniona została nazwa wyspy – z Wyspy Sosen na Wyspę Młodzieży. Budynki są najczęściej opuszczone. *Zona Militar*.

Pojechaliśmy do El Fe po chleb. Od dwóch dni nie ma dostaw do Nueva Gerona. Keka reklamował miejscowość jako była siedzibę zagranicznych placówek handlowych i dyplomatycznych. Nie wyobrażam ich sobie w tej lokalizacji. Myślę, że chciał kupić chleb.

El Fe pozostawiłem za sobą bez zdjęć. Ciekawe były przedmieścia, chociaż całe Fe jest przedmieściem. Keka nie chciał się zatrzymywać na fotografowanie, a mnie najbardziej interesowały prosiaczki. Przed wjazdem do Fe jest taki wonny teren ogrodzony patykami. Wygląda jak małe ogródki działkowe bez zieleni. Mieszkańcy hodują tutaj swoje prywatne świnki. Mogłem się domyślić po zapachu.

Niebieski budynek piekarni jest charakterystyczny dla tujszej architektury. Samotny, wolno stojący fragment pierzei w typowym dla tego miejsca stylu: parterowe domy z podcieniami od strony ulicy, podpartymi kolumnami korynckimi.

Zabudowa po obu stronach piekarni się zawaliła.

W drodze powrotnej odwiedziliśmy amerykański cmentarz, na którym, jak głosi historia, pochowano jedną kobietę z Jamajki, ponieważ była żoną Amerykanina. Cmentarza również nie ma.

Wysiadłem z samochodu i z moim fotograficznym natężeniem wszedłem na pole z rozsianymi rzadko skałkami resztek nagrobków. Na wielu znalazłem niemieckie nazwiska.

Keka z żoną i z synkiem również wysiedli z auta, ale zatrzymali się na skraju drogi. Wróciłem do nich. Powiedzieli, że przejeżdżają tędy często, ale nigdy nie wchodzili na cmentarz. To jest terytorium USA. Chyba drugie na Kubie po Guantanamo. Nie pomyślałem o tym. Niestety inni, którzy wcześniej zwiedzali to miejsce, też nie okazali szacunku dla terytorium USA. Aktywnie.

W obiektywie Hasselblada widziałem łąkę porośniętą suchym zieleń, z rozrzuconymi dużymi kamieniami. Przekręcałem film i wciskałem spust migawki. Robiłem zdjęcia amerykańskiego cmentarza.

Zakończyliśmy program zwiedzania na dzisiejszy dzień i o czternastej zostałem odwieziony na plażę. Tym razem na Bibijagua. Wybrzeże z czarnym piaskiem z miejscowego marmuru. Konsekwentnie określiliśmy go jako niebieski.

Jest niedziela i nie ma tutaj żadnego poza mną turysty.

Nic dziwnego, skoro na wyspie jest ich aktualnie dwóch lub trzech. Bar przy wejściu na plażę miał bardzo skromną ofertę. Papierosy bez filtra i piwo w małych buteleczkach, które znam z Hawany. Podszedłem bliżej starego czerwonego forda zaparkowanego między palmami na plaży. Zrobiłem zdjęcie i poszedłem szukać innego baru. Z bogatszą ofertą. Właściciel samochodu przybiegł za mną, żeby mi go pokazać i przedstawić swoją rodzinę.

Silnik i zawieszenie wołgi. Wnętrze auta wyposażone w przypadkowe elementy pochodzące z innych pojazdów. Sławne samochody Kuby są fantomami. To jego piąty „Amerykanin”. Jak tłumaczył, tylko te samochody można mieć na własność. Pozostałe są własnością państwa.

Udałem, że robię zdjęcia detali jego krążownika. Nie chciałem, żeby było mu przykro.

Miękłem w ciepłym morzu w czapeczce i bez przyjemności. Powędrowałem goły z plecakiem na zachodnią stronę Bibijagua. Minąłem kilka rodzin zajętych piknikiem, kawałek spalonego lasu przy skałkach i dom z obórką. Smutny teren usiany śmieciem. Droga nad nadmorskimi skałkami zaprowadziła mnie do bramy luksusowego campingu z domkami. Skałki zachęcały do nurkowania, ale śmieci odstraszały. Młoda szczupła Mulatka wyszła ze swojej stróżówki i powiedziała, że

wstęp na teren kosztuje 5 CUC. Domki są wolne. Teren campingu był czysty. Mulatka była w skąpym mundurze i w siatkowych pończochach, a ja stchórzyłem. Uciekłem z powrotem w śmieci plaży Bibijagua kupić sobie piwo.

Po obu stronach drogi widziałem roślinność strawioną przez pożar. Jest bardzo sucho. W drodze powrotnej właściciel czerwonego forda zauważył mnie z daleka. Zaprosił ponownie, napił rumem i przedstawił przyjacielowi rodziny, młodemu czarnoskóremu imieniem Pedro, który pracuje jako tancerz na wyspie Cayo Coco. Pedro, uduchowiony, tańczył w słuchawkach podłączonych do małego odtwarzacza. Bez wstępów wetknął mi je do uszu i zapytał, czy znam Céline Dion. Jest kolejną z niewielu spotkanych osób, która mówi wyraźnie po hiszpańsku. Mówi też ładnie po hiszpańsku. Chciałem się zrewanżować moją muzyką z iPhone'a, ale jego słuchawki nie działały w moim telefonie. Pożegnałem się. Chciałem popisać w spokoju na schodkach przed barem, ale mi się nie udało.

Wróciłem do nich z trzema piwami w puszkach. Poprosiłem Pedro, żeby posłuchał Ewy Demarczyk z głośnika telefonu. Był zachwycony. *Qué vos!* (Jaki głos!).

Opowiedziałem mu o moich dzieciach i pokazałem w telefonie zdjęcia Pauli. *Mi amor, pero es mi socia de negocios no mi esposa* (Moja ukochana. Ale to moja współpracownica, nie żona). *Qué linda, como una Cubana!* (Jaka piękna, jak Kubanka!).

Jest w tym dużo prawdy. Pokazałem mu też zdjęcia Guapy. Był zdziwiony, że pokazuję mu fotografię psa, a nie dzieci. *Mi amigo de Canadá, tiene tambien un perro tan grande – qué animal! Y dice siempre – mi hijo. Preo porqué? Christopher, porqué?* (Mój przyjaciel z Kanady też ma takiego dużego psa – ale zwierzak! Mówi zawsze: mój synek. Ale dlaczego? Krzysztofie, dlaczego?). Rozumiem jego przyjaciela, ale nie potrafiłem mu wytłumaczyć dlaczego.

Od piętnastu lat mam w prawym uchu srebrny kolczyk. Nie pamiętam o nim. Dla niektórych cały czas pozostaje źródłem fałszywej informacji.

Pedro jest z pewnością innej orientacji niż ja. Widzę to nie tylko w jego ruchach i zachowaniu. Chciałbym z nim spędzić więcej czasu. Jest bardzo atrakcyjny i kulturalny. Cała rodzina spała już na trawie, uspokojona rumem. Pedro podziękował za piwa, ale nie chciał ich pić, a ja nie musiałem nigdzie uciekać. Nie mogłem zrobić zdjęć. To by zniszczyło naszą relację i moje wspomnienia. Będę za nim tęsknił.

Bardziej lubię moją pierwszą plażę. Szukam emocji i boję się ich.

Keka odebrał mnie z Bibijagua punktualnie co do minuty. Przed kolacją poszedłem jeszcze znaleźć jakieś tematy do zdjęć, a teraz mam nadzieję się wyspać. Tęsknię za domem.

W mieście wysiadł prąd. Z tego co widzę, szpital ma zasilanie. Reszta miasta jest ciemna. Nie wiem, czy mi się uda zasnąć bez buczonej klimatyzacji. W moim pokoju nie ma innej wentylacji poza oknem w łazience. Z latarką na głowie oglądam atlas ryb Morza Karaibskiego.

Rano w czasie śniadania lało tak, że plac przed domem ponownie zamienił się w jezioro.



Budynki są najczęściej opuszczone. Zona Militar.



Niebieski budynek piekarni jest charakterystyczny dla tutejszej architektury.



Robiłem zdjęcia amerykańskiego cmentarza.



Przed kolacją poszedłem jeszcze znaleźć jakieś tematy do zdjęć.



Część trzecia

Habana Vedado



04.06.11 Sábado (sobota)

W piątek wieczorem po powrocie z wyspy nie potrafiłem odpocząć.

Wyszedłem do miasta obejrzeć całkiem nowe dla mnie miejsce. Włączyłem się po Vedado, na południe od Necrópolis de Colón, do dziewiątej wieczór. Wracając do domu, zobaczyłem grupę ludzi w dużym lokalu, na parterze niedaleko skrzyżowania ulic 10-tej i 23-ej. Obszedłem budynek dookoła, zanim zdecydowałem się wejść.

Trafiłem na wernisaż. Grała ciekawa grupa na nieznanym mi instrumencie strunowym. Do tego znany stary keyboard, ale nieznanne brzmienie. Muzycy byli młodzi i sympatyczni.

Obrazy zrobiły na mnie duże wrażenie. Muzyka również.

Sami młodzi ludzie. Nikt się nie dziwił moją obecnością ani nie niepokoił. Jakaś para zaczęła tańczyć abstrakcyjnie i adekwatnie do brzmienia.

Zainteresował mnie bardzo jeden obrazek, *El nacimiento de un arcoiris* (Narodziny tęczy). Przeczytałem na tabliczce na drzwiach wejściowych, że galeria jest czynna Lu-Sa (Pon.-Sob.) 9.00-5.00 i wolałem przyjść spokojnie w sobotę, po wizycie na basenie z moimi koleżankami z ogródka w Habana Vieja. Chciałem porozmawiać z właścicielem galerii o zakupie obrazka i możliwości importu obrazów do Polski. Dla mnie wszystkie były ciekawe. Miałem nadzieję zainteresować

Obszedłem budynek dookoła, zanim zdecydowałem się wejść.

tym tematem kogoś w Polsce. Chciałem też dowiedzieć się więcej o muzyce i artystach.

Dzisiaj jest sobota. Galeria niestety zamknięta. Spróbuję w poniedziałek, bo *El nacimiento de un arcoiris* chciałbym mieć. Nadzieja na spotkanie właściciela galerii to naiwność. Galeria jest państwowa.

Wczoraj wieczorem Yolanda nie dodzwoniła się do moich taksówkarzy, Ismaela i Antonio. Potrzebowałem taksówki na sobotę rano. Wstałem o 7.30, żeby zdążyć na spotkanie z koleżankami z ogródka na Prado. Przed spotkaniem miałem zamiar odebrać moje pranie od Señory Rosy. Pakując się, nie zapomniałem o basenie. W torbę wodoszczelną zabrałem kąpielówki, okulary do pływania i małoobrazkowego Voigtländera z szerokokątnym obiektywem. Ręcznika już nie miałem.

Taksówkę udało mi się złapać przed galerią. Cubataxi z licznikiem. I białym taksówkarzem.

Jest dziewiąta wieczorem. Piszę na tarasie z dalekim widokiem na bulwar Malecón i na morze. Yolanda właśnie wyszła z mieszkania ze słowami: *Yo me voy ahora, mi amor y tú no vas a salir?* (Wychodzę teraz, moje kochanie, a ty nie będziesz wychodził?). Przytuliła się i dała mi buziaka. Wejście do jej części mieszkania w głębi salonu ma solidne drzwi i kratę. Tym razem zostawiła je otwarte. Nie sądzę, żeby to był prześlany gest, ale było bardzo miłe.

Coś w tym jest, że im dłużej tutaj jestem, tym dłużej mógłbym zostać. Będę tęsknił za tutejszymi kobietami. Najbardziej za tymi, których nie poznałem. Za niektórymi mężczyznami też.

Wróciłem w południe z Necrópolis de Colón. Moje koszulki, które wrzucam w łazience do kosza na śmieci, były

uprane. Yolanda uprała mi także gacie. Kocham Kubanki. Umarłbym w tym kraju jak egzotyczna północna roślina, ale może z przyjemnością.

Biały, miły, małowówny taksówkarz z Cubataxi włożył jakiś piracki CD w odtwarzacz swojej skody. Jadąc, wystukiwał rytm na kierownicy. Poprosiłem go, żebyśmy przejechali przez Centro Habana, wzdłuż ulicy San Lazaro, równoległej do morza i bulwaru Malecón. Przechadzałem się wcześniej tymi ulicami. Małym cyfrowym Nikonem chciałem nakręcić film z wolnej jazdy wzdłuż ulicy, z podkładem muzyki z taksówki. Taka próba setki (filmowcy mówią „setka”, kiedy filmują razem z głosem).

Odebrałem moje pranie od Señory Rosy. Pożegnałem się z nią i jej córką Lisset i poszedłem do mojego ogródka na Prado. Powitał mnie wiecznie uśmiechnięty szef lokalu i jego czarny mały kelner. Z koleżankami umówiłem się na dziesiątą. Miałem czas na zjedzenie *bocadillo* i na sok ze świeżych mango. Koleżanki nie przyszły, ale nie było mi przykro. Przypuszczam, że perspektywa dwóch tygodni między spotkaniami była dla nich za daleka. Poprosiłem o kartkę i długopis. Zostawiłem list w barze.

Tego dnia zostałem po raz kolejny prawdziwym turystą. Poszedłem w kierunku Malecón obejrzeć spokojnie fortyfikacje. Podziękowałem wesołemu riksarzowi za propozycję trzygodzinnego objazdu Hawany za niewielką opłatą. Spotkałem go później ponownie w centrum miasta. Z tą samą ofertą.

Próbując przejść przez czteropasmową jezdnię Malecón na stronę morza, podziękowałem kilku taksówkarzom. Jeden z nich był uparty i zatrzymał się. *Yo te conozco Christopher!*

Soy Antonio! (Znam cię, Krzysztof! Jestem Antonio!). Zmiennik Ismaela. Wsiadłem i pojechałem z nim kawałek z powrotem na jego postój przy *Esquinie*. Tego dnia spotkałem go jeszcze dwa razy.

Najlepsze zdjęcie zrobiłem Voigtländerem z klapką założoną na obiektyw. Zapomniałem jej zdjąć. Odśloniłem więc obiektyw na stałe. Niestety nie ma możliwości założenia na nim filtra, który chroniłby przed porysowaniem. Szkło obiektywu jest wypukłe. Wolę jednak porysowany obiektyw, który zrobi zdjęcia, niż odwrotnie. A klapkę w końcu zgubiłem.

Poszedłem do Museo Revolución, niedaleko ambasady hiszpańskiej, przy której zawsze widziałem kolejki ubiegających się o wizę albo paszport. Bałem się spotkania z moją nową kubańską rodziną, przechodząc obok resztek pałacu mojego szwagra Ernesto. Nie miałem na głowie kapelusza, tylko czapkę amerykańskiej piechoty morskiej z zaszytym emblematem sierżanta, i ciemne okulary. W drodze do muzeum zaczepił mnie po angielsku wyjątkowo rozmowny przechodzień, pytając, dla jakiej gazety pracuje. *No hablo inglés; estoy trabajando, etc...* (Nie mówię po angielsku; pracuję, etc...). Nie pomogło. Może pora była za wczesna na tę metodę. Gawędząc po hiszpańsku, odprowadził mnie do gmachu muzeum. Pożegnaliśmy się przed wejściem.

Muzeum mieści się w byłym pałacu prezydenckim. Lokalizacja ma swoje dobre uzasadnienie. Stąd uciekał na Dominikana prezydent Fulgencio Batista 1 stycznia 1959 roku.

Budynek i ekspozycja są ciekawe. Przed wejściem musiałem oddać do depozytu mój wodoszczelny worek. Najciekawsza była grupka młodych Hiszpanów, która w sali lustrzanej robiła sobie zdjęcia z samowyzwalaczem, tańcząc baletowo na bosaka na parkiecie sali. Pozdrowiłem ich z galerii i pozazdrościłem tego beztróskiego biegania na bosaka. Ekspozycja podobna

w klimacie do tej dotyczącej Powstania Warszawskiego w Muzeum Wojska Polskiego w latach siedemdziesiątych, tylko skromniejsza. Pomimo ochoty na mojito nie czułem się najlepiej w małym, eleganckim barze muzeum, pełnym koszulek z nadrukiem portretu Che i innych podobnych pamiątek. Bar był klimatyzowany, a ja nie miałem kurtki. Została w worku, w depozycie.

Trzech młodych mężczyzn robiło sobie zdjęcia przy traktorach gąsienicowych, przebudowanych na samochody pancerne i pomalowanych na czarno-czerwono. Kolory Movimiento 26 de Julio, Ruchu 26 Lipca. Nazwa pochodzi od daty nieudanego ataku rewolucjonistów na koszary Mocanda w 1953 roku.

Wstydziałem się trochę za nich. Nie chciałem mieć własnych portretów na tle tych pamiątek. Jeden z wozów zbudowany był przez Camilo Cienfuegosa, drugi, malutki, skonstruowany przez Che. Według opisu, nigdy nie wziął udziału w akcji. Stał tam podziurawiony pociskami samochód dostawczy, który brał udział w ataku na Pałac Prezydencki, i otwarty land rover Fidela, którego używał w czasie rewolucji. W land roverze znalazłem kilka niepozornych dziurek po pociskach. Poza tym łódka „amerykańskich” oddziałów desantowych z Zatoki Świń, parę archaicznych samolotów używanych przez siły kubańskie i szczątki strąconych wrogich maszyn.

Obojętne jest dla mnie, ile w tej ekspozycji prawdy o operacji, a ile propagandy. Bardziej powinna mnie zawstydzić moja fascynacja historią rewolucji, niż panowie robiący sobie zdjęcia na tle tego śmietnika.

Wystawa zewnętrzna, pilnowana przez dwóch bardzo sennych żołnierzy, zakomponowana jest wokół dużego przeszklonego pawilonu, w którym zamknięta jest „Granma”. Nie można do niego wejść. Nie wiem, ilu Kubańczyków myśli, że „Granma” jest amerykańskim skrótem od *grandmother*. Ja tak myślę. „Granma” jest dużą osiemnastometrową,

dwunastoosobową łodzią motorową, na której 2 grudnia 1956 roku przyплыło na Kubę z wyspy Tuxpan w Meksyku osiemdziesięciu dwóch rewolucjonistów, w tym Fidel, jego aktualnie sprawujący oficjalnie władzę brat Raúl i Argentyńczyk Che Guevara.

Ulegam nieubłaganie i z przyjemnością kubańskiej indoktrynacji. „Granma” to również tytuł dziennika, oficjalnego organu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kuby. Jest darmowy i chętnie przyjmowany w każdej ilości przez mieszkańców Hawany, jako źródło papieru toaletowego. Niestety składa się tylko z kilku stron, więc nie starcza go na zaspokojenie potrzeb.

Poszedłem dalej do Habana Vieja, poszukać innych muzeów, które miałem zaznaczone na planie. Chciałem je dzisiaj odwiedzić. Niestety wszystkie albo w renowacji, albo zamknięte bez znanej przyczyny. Podobnie z fortyfikacjami portowymi w Habana Vieja. Również zamknięte. Reklamowanego w przewodnikach targu z pamiątkami przy Tacón też nie znalazłem. Może nie było go tylko dzisiaj? Nie kupię moim dziewczynom muszelek i koralików.

Działa za to targ książek i staroci. Historie o możliwości kupienia starego aparatu fotograficznego są prawdziwe. Aparatów jest dużo, ale wszystkie w opłakanym stanie. Nie nadają się ani do użytku, ani do naprawy. Podobnie jak legendarne amerykańskie krążowniki.

Dla mnie samochody w Hawanie pozostaną symbolem Kuby z powodu swojego stanu i perspektyw. Nadwozia ulepione głównie ze szpachli. Podwozie i zawieszenie wołgi, deska rozdzielcza łady, fotele skody i silnik gaza, a detale niewiadomego pochodzenia. Wszystkie egzemplarze zniszczone. W takim stanie jest cała Hawana, Isla de la Juventud i być może cała

Kuba. Nie nadaje się do użytku. Do odrestaurowania również nie. Substancja jest bezwartościowa. W przypadku samochodów można podziwiać samozaparcie, pomysłowość i zdolność improwizowania właścicieli i opiekunów, ale trudno się zachwycać rezultatem ich działań. Nie pozostawiają nadziei. Szacuję, że zaledwie jeden na sto jeżdżących po mieście egzemplarzy jest względnie zadbane.auta w stanie oryginalnym, nadające się jeszcze do restauracji, widziałem jedynie na Isla de la Juvetud. Niestety tylko dwa.

Mój wspomniany wcześniej mądry przyjaciel prosił mnie o zdjęcia dobrze zachowanego de soto. Nie dostanie ich.

Na placu z targiem staroci usiadłem przy stoliku w ogródku jednej z restauracji. Chwilę później przyszła kapela, która w sąsiednim lokalu grała klasykę Buena Vista. Nie byłem głodny, ale kontrast pomiędzy turystami z pełnymi talerzami i kieliszkami a mieszkańcami, między strefą ogródka restauracji a placem, mógł odebrać apetyt. Trudno by mi było jeść, oglądając głodnych ludzi. Obojętne, żebrzących czy dumnych. Pewnie można się do tego przyzwyczaić. Szczęśliwie miałem ochotę na mojito, wodę i kawę. Nie jestem lepszy od innych turystów. Wolę tylko pić, zamiast jeść.

Ze swojego stolika zrobiłem zdjęcie kota i kapeli. Skorzystałem z czystej toalety bez wody i papieru i poszedłem dalej szukać tematów.

W tej części miasta słyszę ciągle zapytania: *Alemán? De que país eres?* (Niemiec? Skąd jesteś?). Propozycje wszelkiej pomocy są standardem.

Spotkałem ulicznych artystów na szrudłach, których widziałem wcześniej na zdjęciach z Kuby znalezionych w internecie. Dla mnie nieinteresujący temat.

Obejrzałem wnętrza podwórek i dziedzińców domów. Poza wielkością nie różnią się niczym od tych, które znam z najbiedniejszych miejsc Habana Vieja. Może mieszkańcy są tutaj mniej rozmowni, widzę za to większy kontrast między odrestaurowanymi fragmentami starego miasta, goszczącymi turystów, a prawdą kryjącą się za fasadami. Dałem monetę jakiejś starszej pani, chociaż nie prosiła, tylko pytała, co tutaj robię. Musiałem.

Od wschodniej strony, przy Bahía de la Habana, znalazłem miejsce w mieście, gdzie rybacy wspólnie naprawiają swoje łódki wywleczone na ulicę. Zamieniłem z nimi kilka słów. Byli bardzo przyjaźni

Wróciłem do mojej *Esquiny* odpocząć przy mojito. Przed restauracją spotkałem taksówkarza Antonio i spytałem, czy za godzinę odwiezie mnie do Yolandy. Chętnie się zgodził. Muzyk z grupy, którą wcześniej poznałem w tym lokalu, przybiegł przekonać mnie, że powinienem dać mu 1 peso, chociaż jeszcze nie grali. Dostał monetę, ale przeciąg wyrwał mu z ręki 5 peso w banknocie, którym wymachiwał mi przed nosem, i wywiął na ulicę. Popędził za utraconą fortuną. Pozostali muzycy z tej grupy, nawet kiedy grają, nie proszą o pieniądze. Dostają je i może nie gubią. Odpocząłem, pisząc i pijąc. Dokładnie po godzinie przyjechał Antonio i odwiózł mnie do domu.

Po dotarciu do Vedado nie mogłem pójść prosto do mojego pokoiku u Yolandy. Chciałem zrobić jeszcze jakieś zdjęcia. Miałem dosyć mojito i żadnej chęci na odwiedzanie pobliskich knajp. Tutejsze są albo niezrozumiale ekskluzywne i stoją do nich kolejki, albo tak klimatyzowane, że lodowate zimno odrzuca mnie po otwarciu drzwi, albo tak podłe jak ta, w której kelner pobiegł po miętę do hotelu. Wybrałem tę ostatnią,

żeby skorzystać z toalety. Z plecakiem trudno było tam wejść. Było ciasno. Bez plecaka też. Czarna pani, która przedwcześnie uczyła mnie hiszpańskiego, krzyczy z za baru: *Ocupado!* (Zajęte!). Pan z toalety z za uchylonych drzwi krzyczy: *No, uno está libre!* (Nie, jedno jest wolne!).

Wszedłem, ale pani z za baru miała rację. Stan i zawartość wolnego oczka toalety przekroczyły moje możliwości przystosowawcze. Przestałem oddychać. Miły pan krótko przed zapięciem rozporoka spojrzął na mnie smutno, mówiąc: *No es fácil* (Nie jest łatwo). Wyszedł, przeciskając się za moim plecakiem. Było ciasno. Zamknąłem oczy i zrobiłem siusiu. Czarna pani przy barze skasowała swoje honorarium za używanie toalety. Dziś nie uczyła mnie hiszpańskiego. *No es fácil*.

Resztę wieczoru spędziłem w domu na beznadziejnych, głupich przemyśleniach, siedząc w bujanym metalowym fotelu na tarasie aż do powrotu Yolandy. Zrobiła dzbanek kawy, usiadła w bujanym fotelu naprzeciwko mnie i zaczęła opowiadać. Jej język też nie jest dla mnie łatwy, ale mamy czas i mogę pytać do woli, jeżeli czegoś nie rozumiem. Przyniosłem z mojego pokoju małą butelkę rumu, chowaną widocznie na tę okazję. Ona przyniosła swoje zdjęcie sprzed pięćdziesięciu lat. Nadal jest piękną kobietą. Wyszła za męża młodo i rozwiodła się dawno temu.

Jej syn mieszka w Miami i stać ją na wyjazdy do niego dzięki zarobkom z *casa particular*, którą prowadzi. Z tytułu swojego pochodzenia ma również paszport hiszpański umożliwiający wyjazdy. Ale musi lecieć przez Cancún w Meksyku. Jej córka mieszka w Hawanie. Jest prezenterką telewizji kubańskiej. Yolanda opowiadała o szoku po pierwszym lądowaniu w Miami, ale nie zamierza przenosić się do USA. Jest białą Kubanką i dobrze czuje się u siebie w Hawanie. Trzy lata temu sprzedała swoje poprzednie mieszkanie w Vedado, w naprawdę

starym i pięknym domu. Kilka ulic na wschód. Dom pokazała mi z dachu. Kupiła to mieszkanie, w którym jesteśmy, na 12-iej ulicy i wyremontowała od podstaw dla celów swojego *casa particular*. Obejrzałem inne pokoje dla gości. Widzę, jaki to musiał być wysiłek w tych warunkach. Chciałaby jeszcze z tarasu, na którym siedzimy, zrobić wejście na górę i zbudować drugi taras na dachu. Powiedziałem jej, jak bym to rozwiązał. Była zachwycona. Mam nadzieję, że trochę pomogłem.

Ma wielu adoratorów i tęskni za miłością. Wybiera samotność, ale jak jest jej naprawdę smutno, biegnie na stadion przy Malecón. Znam go z wędrówek od strony Centro Habana.

W nocy na bieżni spotykają się starsi ludzie. Tacy jak ona czy ja. Stadion w nocy jest nieoświetlony. Podobnie jak większa część miasta.

Jutro Yolanda, wraz z innymi niemłodymi biegaczami, bierze udział w proteście. Chcą bezpiecznego, oświetlonego nocą stadionu.

Nie brakuje jej podróży. Poznaje świat oczami swoich gości. Opowiadała o turystach hiszpańskich i włoskich, którzy tutaj nawiązują znajomości z młodymi Kubankami kończące się zawsze fiaskiem. Między innymi z atrakcyjnymi młodymi kelnerkami z ekskluzywnego *paladar* (prywatnej restauracji) na pierwszym piętrze budynku naprzeciwko domu Yolandy.

Opowiedziałem jej o sobie, przygodach w tej podróży i o tym, że czas na mój powrót do domu. Zawsze pytała, czy spotkane przeze mnie osoby były czarne czy białe. Ja nabawiłem się fobii po moich znajomościach z Habana Vieja, a ona potrafiła to uzasadnić. Historycznie pozycja czarnych jako niewolników sprowadzonych na Kubę przez Hiszpanów, po tym jak zabrakło Indian do pracy na plantacjach, była zła. Do dzisiaj mają małe szanse na uzyskanie dobrej posady i są wśród tubylców traktowani gorzej niż biali, Kreole czy Mu-

laci. Zarabiają mniej, co znaczy, że żeby przeżyć, muszą dokonywać więcej przestępstw niż inni. Nie myślą o przyszłości. Rodziny czarnych są zwykle wielodzietne. Nie stać ich na utrzymanie i wykształcenie dzieci. Kółko się zamyka. Nie wiadać tego na ulicy, nawet w Centro Habana, ale biali na Kubie są w mniejszości, a czarnych przybywa.

Tyle relacji Yolandy, lecz faktycznie na moim przypadkowym zdjęciu wśród dzieci wychodzących ze szkoły w Vedado mało jest tych nieczarnych główek, a Vedado jest dzielnicą raczej ekskluzywną.

Yolanda mówi, że jestem jej pierwszym turystą z Polski. Sprząta mój pokój i robi mi pranie, o które nie proszę. Podobno jestem również najporządniejszym z dotychczasowych gości. Miała, jak sądzę, na myśli „porządek” w moich aparatach, światłomierzach i rolkach filmów. Żałowała, że nie pokazała mi pokoju gości z Meksyku przed sprzątnięciem.

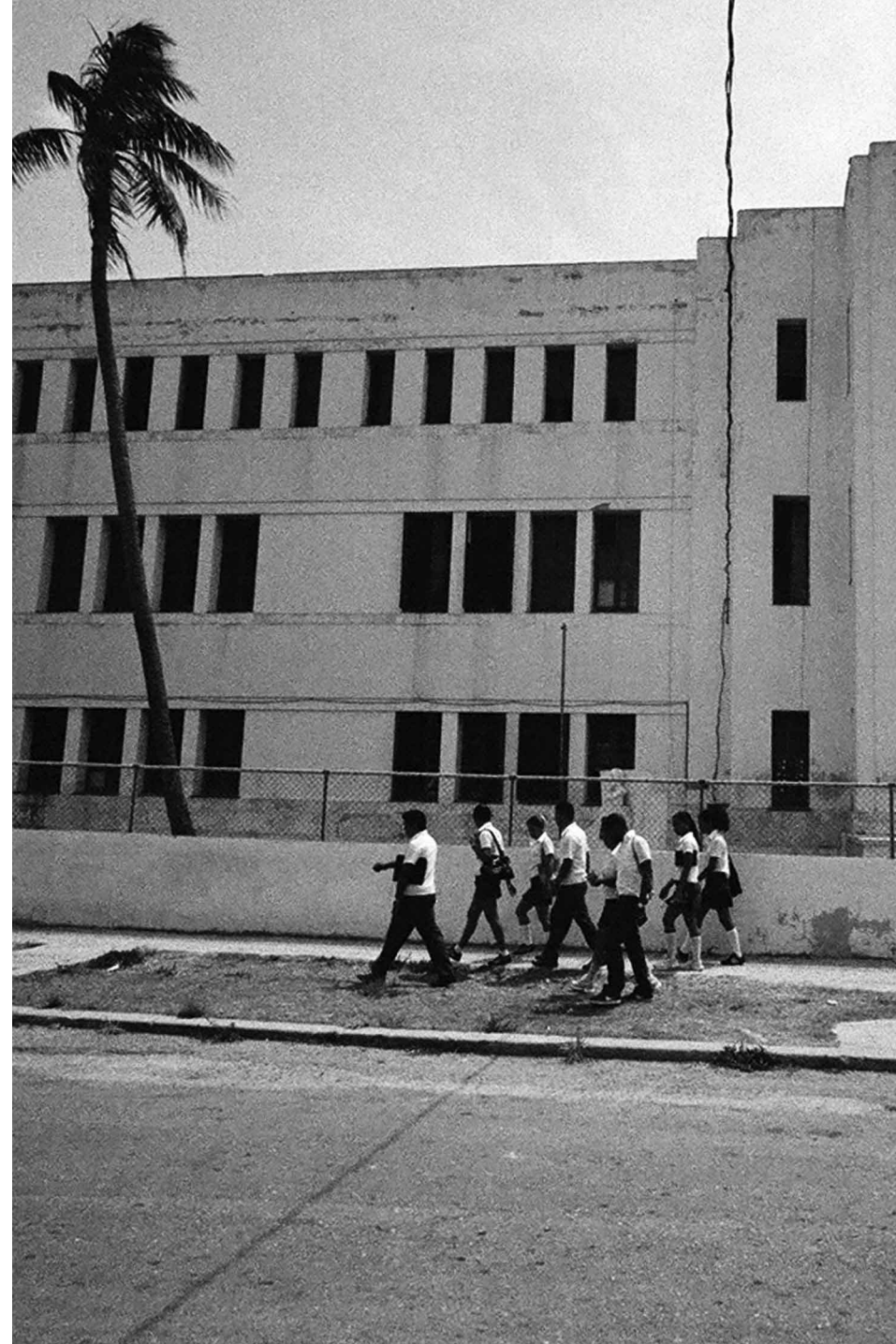
Pewnie by chętnie pozowała do wieczornego zdjęcia na tle tarasu, ale wystarczy jej fotografia, którą zobaczyłem. Zrobię ujęcia z dachu. Może nie jest już ważne, co chciałbym fotografować. Zadowolę się ujęciem skądkolwiek.

Zaręczyliśmy się tego wieczora. Dopiliśmy kawę i rum, daliśmy sobie buziaka i poszliśmy spać. Było już bardzo późno.

Dla mnie samochody w Habanie pozostaną symbolem Kuby z powodu swojego stanu i perspektyw.



...na moim przypadkowym zdjęciu wśród dzieci wychodzących ze szkoły w Vedado mało jest tych nieczarnych główek.



Obejrzałem wnętrza podwórek i dziedzińców domów. Poza wielkością nie różnią się niczym od tych, które znam z najbiedniejszych miejsc Habana Vieja.



Auta w stanie oryginalnym, nadające się jeszcze do restauracji, widziałem jedynie na Isla de la Juvetud. Niestety tylko dwa.





Dla mnie samochody w Hawanie pozostaną symbolem Kuby z powodu swojego stanu i perspektyw. Nadwozia ulepione głównie ze szpachli. Podwozie i zawieszenie wołgi, deska rozdzielcza lady, fotele škody i silnik gaza, a detale niewiadomego pochodzenia. Wszystkie egzemplarze zniszczone. W takim stanie jest cała Hawana, Isla de la Juventud i być może cała Kuba. Nie nadaje się do użytku. Do odrestaurowania również nie. Substancja jest bezwartościowa.

[...] Będę tęsknił za tutejszymi kobietami. Najbardziej za tymi, których nie poznałem. Za niektórymi mężczyznami też.

Krzysztof Idziorek

Krzysztof Idziorek (ur. w 1960 roku w Warszawie) – absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Studiował scenografię w warszawskiej ASP oraz numizmatykę na Uniwersytecie Wiedeńskim. Z zamiłowania fotografik. Swoje fotografie i malarstwo prezentował na wystawach w Wiedniu i Warszawie. Wędrowki fotograficzne po świecie, wraz ze swoimi tradycyjnymi aparatami Leica, Hasselblad, Voigtländer, rozpoczął przed laty od Andaluzji. *Kubański dziennik malkontenta, czyli „No es fácil”* jest owocem samotnej wyprawy na Kubę, którą odbył latem 2011 roku. Odwiedził Hawanę i wyspę Isla de la Juventud.

Jako architekt, malarz i fotografik maluje obraz Kuby innej, nieznaney. W jego obiektywie Hawana już dawno przestała być czarującą staruszką bez liftingu. Nie stara się, śladem licznych pisarzy i reporterów, ożywić jej groteskową, pośmiertną kosmetyką. Przedstawia ją taką, jaka jest. W tym umarłym mieście spotyka żywych, przyjaznych ludzi. Zostaje adoptowany przez rodzinę Neto i Cati z Hawany. Dalej wędruje po Kubie jako adoptowany Kubańczyk.

Bogusław Marcin Kotowski

ISBN 978-83-935189-0-6



9 788393 518906

FIRMA
KAMIENIARZ
TADEUSZ MODLIŃSKI



CASAMILA
architekci
casamila.pl

Deuter
deuter.com.pl